

Agata Miklaszewska

CHOROBA SIEROCA

MONODRAM

Wyszedłem z domu, jak zwykle o siódmej rano. Zawsze, nawet w zimie, wstawałem trochę wcześniej. Tym razem spędziłem rano w bibliotece. Jeszcze wciąż nie byłem pewien, jakim problemom poświęcić dzisiejszą pogadankę.

Ale kiedy ich zobaczyłem, siedzących jak zawsze oddzielnie, żeby mi zrobić oczywiście na złość, kiedy zobaczyłem te ich impertynenckie twarze, zrozumiałem, że mogę mówić o wszystkim i na każdy temat, bo dla nich i tak wszystko będzie nowością. Przypominali rośliny, których nikt nie pielęgnował, albo zwierzęta, których nikt nigdy nie uczył, co wolno, a czego nie.

Postanowiłem na własną odpowiedzialność przedłużyć czas poświęcony wychowaniu. Krótko mówiąc, zesłała na to cała pierwsza lekcja. Poruszyłem w końcu naprawdę ważne tematy. Tłumaczyłem im, że między nimi a nami istnieje pewien przedział, którego nie da się podważyć ani pominąć. Ten przedział to sfera naszych doświadczeń życiowych i naszej wiedzy — dwóch rzeczy, których oni nie zdążyli jeszcze zaznać. Nie można, ot, tak sobie, beztrudno okazywać braku szacunku komuś, kto swoje w życiu przeżył. A teraz byle pętał chce rozmawiać z dorosłymi jak kolega, bez żadnego strachu, bez wątpliwości, bez dystansu. Jakim prawem? Dlaczego?

Od wieków istnieje zasada, że ludzie starsi, doświadczeni, cieszą się szacunkiem młodszych. Jest to zasada słuszną i niepodważalną. Jajo nie może być mądrzejsze od kury — wiadomo.

A wy — powiedziałem im to wprost — wy przed nikim nie macie respektu, nawet przede mną, chociaż wiecie, że nie przebieram w środkach i umiem karać. Przed nikim nie czujecie strachu, zupełnie jakby wszyscy — i młodszy, i starsi — byli po prostu równi wam.

Tak. Powiedziałem im to wszystko, żeby wreszcie skończyła się ich beztrudność i ta dziwowatość na przerwach, kiedy musiałem walić ich dziennikiem po głowie, żeby przestali opętańczo ganiać po korytarzu.

A czy to nie beczelność, żeby matka jednego z tych niewyżytych grubasów, który jak czołg sunie na każdej przerwie tam i z powrotem, z niewiarygodną zresztą szybkością, przychodziła do mnie z pretensjami, że uderzyłem jej dziecko? Wiem, że bicie jest najgorszym środkiem wychowawczym i należy je stosować w ostateczności. Powiedziałem jej nawet, że bardzo mi przykro i że nigdy się to nie powtórzy.

Pocałowałem ją w rękę i przeprosiłem. I wtedy właśnie ten sam piekielny grubas, cwałując korytarzem, z resztą takich jak on chuliganów, zatoczył się na mnie, aż jęknęła podłoga, a ja od razu bach! — na oczach matki, dziennikiem po głowie, sam nie bardzo wiedząc, co robię.

Być może za ten incydent rzeczywiście należała mi się kara, ale na miłość boską — za moich czasów pojawienie się profesora na korytarzu sprawiało, że wszyscy zachowywali się spokojnie, kulturalnie i cicho, to znaczy okazywali mu swój szacunek. Szkoła wtedy nie przypominała małpiarni. A teraz z niczym innym nie da się porównać. Po prostu stado zwierząt wypuszczonych z klatek. Dlaczego? Jeżeli ktoś nie umie żyć na wolności i zasługuje tylko na klatkę, należy mu ją dać. Niech posiedzi, może coś zrozumie.

Tak mnie zdenerwowali, że kazałem im zostać godzinę dłużej po lekcjach. Wozna ma ich pilnować. Będą to potem pamiętali, bo w szkole zimno. Ja sam zmarzłem przez te parę godzin, miałem nawet dreszcze i znowu zaczęło mnie boleć gardło.

Wszystko przez te nie kończące się gadaniny na lekcjach — dzisiaj doszło nawet do tego, że musiałem się z nimi przekrzykiwać. Po co ja w ogóle dopuściłem ich do głosu? Chyba tylko po to, żeby się zdenerwować. Przecież i tak w ciągu godziny nie wytłumaczę im wszystkiego od początku. Chyba jest w końcu ktoś, kto się tym zajmuje. Są nawet w programie osobne lekcje na ten temat, są pogadanki. A ja nagle widzę, że oni przedzierają się przez jakieś problemy samodzielnie, myśląc i mówiąc oczywiście same głupstwa. Dla mnie to, że mogłem zostać nauczycielem, było szczególnym wyróżnieniem. Zawsze wierzyłem, że mogę tej młodzieży coś z siebie dać. Tak mnie wychowano. W końcu sensem naszego życia jest budowanie lepszej przyszłości dla naszych dzieci i wnuków. Zastanawiam się tylko, dlaczego oni nie potrafią czy nie chcą tego docenić. Sami narzucają sobie rygory i ograniczenia w dziedzinach, w których nikt tego od nich nie wymaga. Za to tam, gdzie rzeczywiście trzeba trochę porządku i dyscypliny, są tylko bandą rozchukanych dzieciaków, szukających awantury.

Dlaczego na przykład autorytetami w szkole stają się najgorsi? Rej w klasie wiodą po prostu chuligani. Inaczej nie można tego nazwać. Na nagrodach im nie zależy, kary znoszą z hardością, która podwyższa jeszcze ich pozycję wśród kolegów. Krótko mówiąc, nie ma na nich sposobu — oczywiście, jeśli ma się na myśli sprawy wychowawcze.

Na przykład uwzięli się, żeby w klasie wisiał krzyż. Przez złośliwość. Wiedzieli, że to źle widziane, więc się uparli. Ale ja też się uparłem, chociaż w tej sytuacji wystarczyło wezwać dyrektora albo zwołać rodziców, zagrozić obniżeniem stopni albo pismem do pracy ojca — wszystko jedno. Tylko ja, jak zwykle, chciałem być wobec nich lojalny. Postanowiłem załatwić to sam i przemówić do nich jeszcze raz, jak do poważnych ludzi. Zacząłem im tłumaczyć, że jeżeli spojrzeć realnie, to na pewno niewielu wśród nich jest wierzących, a ci, którzy są, na pewno nad problemem wiary nawet się głębiej nie zastanowili, tylko chodzą do kościoła tak zwanym owczym pędem — z rodzicami czy dziadkami.

Kiedyś była w szkołach religia. Nawet były specjalne szkoły prowadzone przez kler. Wtedy młodzież chciała się wyzwolić, chciała tolerancji i wolności przekonań. — Ku czemu wy zmierzacie? — spytałem. — Chcecie iść wstecz? Posuwać się do tyłu? Proszę bardzo, cofajmy się. Ale wtedy, moi panowie, koniec też z koedukacją. Paniutki widzieć będziecie na balach, dwa razy do roku. Koniec z liścikami na lekcjach i flirtami na korytarzu. Chcecie ascezy — proszę bardzo. Krzyż na ścianie, ale w klasie sami chłopcy. A dziewczyny u zakonnic, osobno.

Jaki wtedy podniósł się gwar, jaki rwetes, jakbym nie wiem co powiedział. Tak mnie tym zdenerwowali, że nie wytrzymałem i wygarnąłem im, że religii jest wiele. Może potem zachce im się buddyzmu albo jeszcze czegoś gorszego. O tym, co wisi w klasie, decyduje szkoła. O tym, co robią w czasie lekcji, decyduje ja. Zamiast się modlić, lepiej się gimnastykować. To dotlenia umysł i głupstwa wietrzeją z głowy. Nie wiedzą jeszcze, gdzie głowa, gdzie nogi, a zachciewa im się filozofii.

Może przesadnie się wtedy uniosłem, ale przedtem próbowałem im przecież tłumaczyć, że dosyć jest w życiu rzeczy strasznych i przerażających. Dlaczego stale mamy mieć przed oczami rzeźbę czy obraz przedstawiający czyjeś cierpienie? Wobec takiego przedmiotu może należałoby skończyć z szaleństwami na przerwach, głupimi dowcipami i szarpaniem dziewczyn za warkocz.

Krzyż jest symbolem, który poraża pesymizmem. Pokazuje, do czego zdolni są ludzie. Na jaki los skazują siebie i innych. Jeżeli koniecznie chcą mieć przed oczami krzyż, to jest oczywiste, że będą musieli przestać zachowywać się jak w koedukacyjnym zoo. Ale ponieważ uważam to za niemożliwe, więc zdejmuję ten krzyż ze ściany — powiedziałem i dodałem, że właściciel może go sobie zabrać po moim wyjściu.

Myślałem, że na tym się skończy, ale oczywiście znowu byłem naiwny. Jak to oni — trafili na moją łagodność i natychmiast postanowili z nią poigrać. To właśnie wtedy zaczęli siadać osobno — chłopcy i dziewczynki. Oni z lewej, one z prawej. Upór naprawdę godny katolików. Wszystko im się w głowach płące.

Moja matka była wierząca, natomiast ojciec był walczącym ateistą. I oboje żyli uczciwie. Matka potrafiła w końcu ustąpić i ja też przerwałem lekcje religii. Tylko jako mały chłopiec chodziłem do kościoła. Bardzo lubiłem ten nastrój, zapach świec, dzwonki ministrantów albo ciszę pustej katedry w przerwach między uroczystościami. Trochę się tylko bałem. Pamiętam, jak matka uspokajała mnie. Trzeba się bać przeszłości — mówiła — tego, co już się zrobiło, co się nie „odstanie”... Grzechów trzeba się bać, a nie śmierci...

Nie bać się przyszłości... Przyznaję, że to ładne zdanie, ale słuszność była po stronie ojca. Ojciec miał rację, twierdząc, że religia jest dla słabych ludzi, którzy boją się umrzeć i muszą znaleźć jakieś pocieszenie. Ale nie dla nas. My już tacy nie jesteśmy. Może jestem zbyt pewny siebie. Ale, tak naprawdę — wierzę tylko w sens pracy dla przyszłych pokoleń i mam nadzieję, że ten ich młodzieńczy idealizm to choroba, przez którą każdy musi przejść w pewnym wieku.

Może zresztą przykładam do tego zbyt wielką wagę i niepotrzebnie szarpię sobie nerwy. Wiadomo, że lepiej przejść nad tym do porządku dziennego i po prostu zbagatelizować.

Tak też zrobiłem, a żeby naprawić jakoś stosunki, postanowiłem zabrać ich do kina. Całą klasę. Mają jednak być mało rozrywki. Są przemęczeni nauką. Powiedziałem im, że wprawdzie dyrektor nie wyraził zgody, ale między nami, po cichu i nie nikomu nie mówiąc, moglibyśmy pójść. To była nieprawda, bo dyrektor w ogóle nie wiedział o niczym, ale rozgrzeszało mnie to, że na pewno by się nie zgodził. Zwłaszcza że wycieczka miała być w czasie godzin lekcyjnych. Urwaliśmy się z ostatnich dwóch moich godzin, wymykając się ze szkoły ukradkiem, żeby nie zobaczyła nas woźna.

Siadłem w drugim rzędzie — oni za mną. Tak, jak obiecali — przynajmniej raz dotrzymali słowa — chłopcy razem z dziewczętami. Przemieszani. Czterdzieści pięć krzeseł zajętych przez moją klasę, moich wychowanków.

Lubię chodzić do kina. Przypomina mi to marzenia, które miałem w dzieciństwie. Gaśnie światło i powoli rozsuwa się kurtyna, jakby zaczynał się sen... Kolorowe filmy są takie piękne. Ten też wspaniale się zaczął. I muzyka tak wzruszająca... Fotele są wygodne i miękkie — bardzo dobrze, że tu przyszedłem. Odpocznę sobie i oni też odpoczną. Wreszcie zachowują się porządnie. Nie można na nich powiedzieć złego słowa — nikomu nie przeszkadzają. Chyba pierwszy raz w życiu są tacy grzeczni. Widocznie podoba im się film. Ale często coś im się podoba, a nie umieją usiedzieć tak długo spokojnie.

Szczerze mówiąc już nie mogę wytrzymać w tym fotelu. Są cicho jak trusie i wcale nie słysząc, żeby się wiercili.

Niepotrzebnie siadłem przed nimi — przecież wiadomo, że powinienem mieć ich na oku. Teraz patrzą na moje plecy i mogą całkiem bezkarnie ośmieszać mnie przed całym kinem swoimi minami i małpimi gestami.

Może jestem znerwicowany, przeczulony, może przesadzam. Jestem po prostu zbyt wrażliwy na tego rodzaju napięcia. Ale nie... Cisza poza mną nie jest zwykłą, szkolną ciszą. Jest zupełnie inna. Są cicho, a jednak zachowują się skandalicznie. Nie mogę się mylić. Znam ich nie od dziś. Nie ma co czekać — trzeba to sprawdzić natychmiast. I obejrzałem się.

A oni nie robili nic. Naprawdę nic. To było nie do uwierzenia. Siedzieli sobie w fotelach, nieruchomo, rzędami, z uwagą wpatrzeni w ekran. Widocznie byli przygotowani.

Wiedzieli dobrze, że prędzej czy później na nich popatrzę. A teraz, kiedy już się to stało, mogli zacząć robić, co im się spodoba. Nie wypadało mi przecież wciąż odwracać się do tyłu.

To jasne, że zrobili to umyślnie, żebym się oglądał. Jak zwykle chcieli mnie sprowokować. Dziwi mnie tylko, że dziewczęta też w tym uczestniczą. Że one, grzeczne i skromne, nagle w tym czarnym kinie pozwoliły się namówić na coś takiego. To obrzydliwe.

Wstałem i tak, żeby mnie nie zauważyli, cichuteńko wysunąłem się z rzędu. Za mną strzeliło krzesło — jak wystrzał armatni. Wyprostowałem się i opuściłem salę. Czekałem na nich w hallu, nie mogąc się uspokoić.

Udało im się... Ale dlaczego? Jaką mają satysfakcję? Nie mam pojęcia. Jakie są między nimi nici porozumienia, że potrafią stworzyć takie napięcie skierowane przeciwko mnie?

Po tym nieszczęsnym incydencie w kinie znowu wróciłem do palenia, chociaż wiedziałem, jak trudno będzie mi przestać. Nikotyna zawsze szkodziła mi na żołądek. Nie mogę zrozumieć, dlaczego znowu, po latach przerwy, zapaliłem papierosa. Dlaczego włożyłem go do ust i zaciągnąłem się. Ale ilekroć przypominam sobie siebie w tym pierwszym rzędzie, tuż przed ekranem, i tę całą menażerię za mną — czuję dreszcze na plecach.

Wciągnąłem dym jak dawniej, bardzo głęboko i wtedy właśnie, w tym momencie, zrozumiałem, że oni — moi wychowankowie, moje dzieci — mogą mnie wykończyć.

Wiem, że niepotrzebnie się unoszę, że widocznie już dawno doprowadzili do tego, że nie panuję nad nerwami. O to właśnie im chodzi. Jeżeli teraz zorientują się, że palę, oszaleją z radości. Będą z przyjemnością patrzeć, jak się zaciągam, i obliczać, ile minut lekcji zarobią na swoje wygłupy dzięki moim dolegliwościom. Kiedy byłem młody, dzieci także rozrabiały w szkole. Jak świat światem robiło się dowcipy dorosłym. Sam też kiedyś porządnie broiłem. Ale żeby nauczycieli wpędzać w choroby, żeby wręcz hodować im w brzuchach wrzody żołądka — każdy musi przyznać, że to perfidne.

Wyobrażałem sobie mój żołądek, który sam wyžera w swojej tkance coraz to nowe dziury. Próbowałem wsłuchiwać się w pracę swojego organizmu. Odgadnąć, czy to już, czy dopiero za chwilę zacznie się samobójczy proces.

Czy to możliwe, żebym knuł coś przeciwko sobie? Żebym sam siebie szantażował śmiercią? To przecież nieprawdopodobne. Sprzeczne z instynktem samozachowawczym.

Oczywiście, że to oni chcą mnie wykończyć. Czego innego mogłem się spodziewać? Ale ze mną nie pójdzie im tak łatwo. Będę się bronił, a jeżeli ich ataki na tym się nie skończą — ja też zareaguję agresją. Istnieją w końcu pewne granice tolerancji. W każdym razie z tej prowokacji postaram się wyjść zwycięsko. Musi w końcu istnieć jakiś sposób wyleczenia się z nałogu. Postanowiłem spróbować po raz ostatni. Zbyt już wiele poświęciłem czasu, żeby ich sobie zjednać. Ale stać mnie na jeszcze jeden eksperyment i zrobię go moim własnym kosztem. Przyznam się przed nimi do mojej słabości. Sam się odsłonię. Wtedy oni też przestaną stoszyć się i jeżyć — po prostu zrozumieją, że ja też mam swoje kłopoty i możemy powierzyć je sobie nawzajem.

Przyszedłem następnego dnia do szkoły i zaraz na początku lekcji powiedziałem im, że mam pewne problemy, z którymi nie potrafię sobie poradzić. Powiedziałem też, że, być może, ktoś z nich przeżywa te same trudności co ja i możemy wspólnie poszukać rozwiązania. Jednym słowem — przyznałem się do palenia papierosów. Dużo mnie to kosztowało, ale wydawało się konieczne na początku.

Dzięki temu wyznaniu nagle poczułem się jakby oczyszczony. Nie było wątpliwości, że muszą mnie docenić. To był naprawdę dobry pomysł i świetny temat, jak na pierwsze zagadnienie wychowawcze. To, że przedstawiłem im siebie samego jako negatywny przykład, było dowodem pewnego rodzaju dystansu do własnej osoby. Dystansu, który pozwala widzieć własne błędy, wady i słabości. A świadomość tego, że nie jest się aniołem, jest pierwszym krokiem do anielstwa — tak im powiedziałem i zrobiło to na nich wrażenie.

Dopiero potem wygarnąłem im, dlaczego zacząłem palić. Jak po tylu latach przerwy, pod wpływem ich skandalicznego zachowania, przyjąłem papierosa od portiera.

To była słabość charakteru albo zwykła nieumiejętność zapanowania nad sobą. Gdybym wtedy spokojnie obserwował tych, którzy źle się zachowywali i równie spokojnie wlepił im dwóje do dzienniczków następnego dnia, na pewno byłoby to z większym pożytkiem dla nich i dla mojego schorowanego żołądka.

Oczywiście, nie obciążam ich winą za to, że znów wpadłem w nałóg. Może nie mieli wcale złych intencji, rozrabiając w kinie, chociaż, równie dobrze, mogła to być akcja celowa, za którą powinni zostać ukarani. To jednak osobny temat, do którego kiedyś jeszcze wrócę. Powinni przecież ponieść jakieś konsekwencje, podobnie jak ja je ponoszę, walcząc ze skutkami palenia, którego nie udaje mi się przerwać. Widzicie teraz — tłumaczyłem im — jakie straszne skutki mogą mieć nałogi. To przecież nie tylko perspektywa raka płuc, która jest tak odległa, że trudno nam ją sobie wyobrazić. Nie tylko. Palenie jest codzienną męczarnią świadomości, że z własnej głupoty robi się coś przeciwko sobie. Ma się wyrzuty sumienia i z każdym zaciągnięciem przeżywa kolejne upokorzenie. A to wszystko jest ceną płaconą za jedną chwilę — błąd popełniony w młodości, kiedy wydawało nam się, że będziemy uchodzić za starszych, poważniejszych i mądrzejszych z papierosem w ręku. Bo niestety tak jest. Nikt nie zaczyna palić dla przyjemności. Każdy z głupich kompleksów, z wysiłków, żeby nadgonić starszych albo udać przed nimi kogo innego, niż się naprawdę jest.

— Dlaczego zacząłem palić — takie zaproponowałem im wypracowanie klasowe. Zareagowali na to lekkim szumem, co mnie zresztą ucieszyło. Wreszcie w tej klasie zaczyna się coś dziać, zaczynają rodzić się problemy, które wyrrywają ich ze zwykłego, szkolnego letargu. — Dlaczego zacząłem palić — powtórzyłem. Taki temat klasówki piszemy dzisiaj. Macie na to tylko pięć minut, bo tyle zostało nam z cotygodniowej dziesięćminutowki wychowawczej.

No właśnie. To określenie było chyba dobre. Będę zawsze tak nazywał część lekcji, poświęconą wychowaniu. To jeszcze jeden dowód, że dobre pomysły pociągają za sobą następne, jeszcze lepsze. Muszę przyznać, że nieźle zaczął mi się ten tydzień. Ciekawe, co teraz napiszą w swoich wypracowaniach.

Pięć minut minęło, więc kazałem zebrać kartki i położyć na swoim stoliku. Zerknąłem na pierwsze dwie, potem na resztę — wszystkie były puste. Nikt nic nie napisał.

— Adamczewski — wyczytałem pierwszego z listy, prymusa, który nigdy mnie jeszcze nie zawiódł — dlaczego kartki są puste? — zapytałem. — Bo ja, na przykład, nie palę — powiedział Adamczewski patrząc mi prosto w oczy.

Wtedy przestałem panować nad sobą. Ja się przyznałem, a oni nie. To było bezczelne. To było zwykłe chamstwo. Nie zasługuje na nic ta banda smarkaczy. Na nic, poza zwykłą szkołą z różgą, batem i dwójami. Zmówili się wszyscy przeciwko mnie jednemu.

Od tego dnia byłem właściwie pewien, że powinienem rzucić szkołę. To, co się stało, postawiło przysłowiową kropkę nad „i”. Ostatnia kropla przełała się. Miałem już dosyć codziennych konfliktów, rozczarowań i goryczy. Od tylu już lat nie odczuwałem żadnej radości, nie miałem żadnych sukcesów — jak mogłem widzieć sens w takiej pracy. Każde zajęcie, które nie daje satysfakcji, staje się, prędzej czy później, piekłem. Robię coś, czego nikt nie docenia, co nikomu nie jest potrzebne. Zrezygnować ze szkoły — taką decyzję powinienem podjąć jak najszybciej, zanim będzie za późno.

Ale czy stać mnie na taki gest? Mnie, schorowanego, znerwicowanego, żyjącego w ciągłej niepewności, co przyniesie jutro. Gdybym był kobietą, może poszedłbym do wróżki. Kobiety nie wstydzą się takich rzeczy. Traktują wszystko tak powierzchownie, że mogą nawet swobodnie wysłuchiwać wróżb o własnej przyszłości, nie przywiązując do tego żadnej wagi. I tak będą żyły z dnia na dzień.

Swoją drogą ciekawe, co mogłaby mi powiedzieć. Siedziałyby naprzeciw mnie, na sofie, obok lampka z czerwono-złotym abażurem, kot i szklana kula. Przycmione światło — to musi być ekscytujące tak patrzeć na kogoś i programować mu życie. Rozkładać przed nim

wachlarz szans, klęsk i sukcesów, chorób, miłości, nieszczęść... Chciałbym być wróżką. Oglądać wciąż nowych ludzi, całkiem obcych, z którymi nic nigdy nie będzie mnie łączyło, i odczytywać z tych twarzy ich własne życie. Skazywać na szczęście lub nieszczęście. Właściwie mógłbym któregoś dnia pójść do tej wróżki, której adres znalazłem w gazecie. Poznać swoją przyszłość... Broń Boże. Chciałbym tylko przez zwykłą ciekawość dowiedzieć się, czy jest jakaś szansa obrony przed tym okropnym skazaniem na coś. Czy ona naprawdę może mieć jakiś wpływ na życie ludzi.

Oczywiście, najprościej byłoby pójść do niej któregoś dnia. To mogłoby być nawet zabawne. Spytałbym ją wprost — czy może sterować życiem swoich klientów? Czy czuje się odpowiedzialna za to, co im mówi? Nie wiem, czy będzie chciała mi się zwierzać. Może obowiązuje ją coś w rodzaju tajemnicy zawodowej. Ale mógłbym zaproponować jej, na przykład, wywiad do szkolnej gazetki. A przy okazji dowiedziałbym się, czy rzucić szkołę, czy nie. Jeżeli nie umiem sam o tym zdecydować — proszę bardzo — niech decyduje los. Zamiast rzucać monetę, wybiorę się do wróżki. Ona mi powie orzeł czy reszka i kłamka zapadnie.

To może być nawet zabawne: ona udająca, że mówi prawdę, i ja, kłamiący, że jej wierzę. Ona wzięłaby ode mnie pieniądze, a ja wykorzystałbym ją, jak ślepą sierotkę wyciągającą los. A przy tym zawsze chciałem zobaczyć prawdziwą wróżkę... To brzmi jak bajka z dzieciństwa. Są ludzie, nawet wielu, którzy do końca życia wierzą w takie bajki. Może są nawet szczęśliwi, jak dzieci. Patrzą w szklaną kulę i z niej odczytują przyszłość. Idą potem do domu i już wiedzą, co robić z dalszym swoim życiem.

Ilu ludzi w ten sposób los pchnął na ślepy tor, ilu uszczęśliwił? Ile wrózek im pomogło dając przynajmniej trochę nadziei?

Musiałem przerwać na chwilę moje rozmyślenia i wstać z łóżka. To już nie była pora na otwieranie okien. Było mi zimno. Od tygodnia nie chodzę do szkoły i mówiąc szczerze czuję się coraz gorzej. Sam nie wiem, co mi dolega. Widzę wszystko tak czarno. A przecież inni żyją po prostu z dnia na dzień, nie roztrząsając w kółko wszystkiego, nawet poważnych spraw, a cóż dopiero takich drobiazgów, jak moje problemy. Może można o tych ludziach powiedzieć, że myślą prymitywniej, ale za to na pewno są zdrowsi psychicznie.

Po co właściwie to ciągle rozdzielanie włosa na czworo? Doprowadzam się do stanów depresyjnych i obwiniam o to moich uczniów. A przecież dzieci, jak to dzieci, każdego wyprowadzą z równowagi. No, może jestem zbyt tolerancyjny.

Mimo to, byłoby głupota, gdybym ja, człowiek rzeczowy, poważny i racjonalista robił jakieś metafizyczne głupstwa z powodu paru rozwydrzonych bachorów.

A gdybym tak pominął sprawy szkoły i spytał ją tylko o moje zdrowie? Wiadomo, co mi powie — wykończone nerwy, słabe serce, wrzód żołądka, złe krążenie, diabli wiedzą, co jeszcze. Po co mam tego słuchać? Po to, żeby nie spać przez następne parę nocy? W końcu nie jestem idiotą. Trzeba po prostu pójść do lekarza, jak każdy normalny człowiek. Wyleczyć wszystkie choroby, naprawić zęby, doprowadzić się do jakiegoś takiego stanu i dopiero wtedy martwić się o swoją nieznaną przyszłość.

Szkolny lekarz przyjmował dwa razy w tygodniu. Zapukałem. — Wejść — padło z gabinetu. Było to dosyć niegrzeczne, ale wiem dobrze, do czego mogą człowieka doprowadzić dzieci. Przecież nie mógł się spodziewać, że jestem dorosłym pacjentem. Zresztą teraz byłem już jedną nogą w pokoju, zdany na łaskę i niełaskę tego wielkiego mężczyzny, który w co najmniej o dwa numery za małym fartuchu wyglądał jak mała przebrana w dziecienną sukienkę.

— Niech się pan nie rusza — powiedział, patrząc na mnie intensywnym wzrokiem człowieka, który już wie wszystko. — Chodzi pan późno spać, prawda?

To mnie zdziwiło. Przyszedłem wyleczyć się z palenia papierosów i nie widzę powodu, żeby tłumaczyć się, o której zasypiam. Nigdy się nie spóźniam i nie narzekam na brak snu. Musiał to sobie sam wymyślić. Nikt nie mógł mu naopowiadać podobnych bzdur o mnie. Mógłbym to zresztą zlekceważyć, gdyby nie diagnoza.

— Za pięć lat zawał — oznajmił, zupełnie jakby mówił, że jutro wtorek. Przecież to wymaga chyba odrobiny taktu. Jak można takim tonem wydawać wyrok na człowieka. Bo przecież, jakkolwiek na to patrzeć — to jest wyrok.

Siedziałem w swoim pokoju i usiłowałem bezskutecznie zająć się czymś i przestać myśleć o zapaleniu papierosa. Co mnie skusiło, żeby pójść do lekarza? I to do takiego... Dlaczego tak ze mną postąpił? Przecież mógł nie mówić mi wszystkiego tak prosto z mostu. Może nie zapanował nad sobą. Jest pewnie, jak wszyscy, zmęczony i zapracowany.

A może rzeczywiście zobaczył we mnie coś, co świadczy o chorobie serca. Może lepiej, że nie owija w bawelnę — w końcu mężczyźnie można powiedzieć najgorszą prawdę prosto w oczy. Jest lekarzem od lat, na pewno doświadczonym i, sądząc po wieku, z długą praktyką. Dobrzy lekarze mają pewien rodzaj szóstego zmysłu. A ja odwróciłem się na pięcie jak szczeniak i wyszedłem, obrażając człowieka, który chciał mi pomóc.

Jak mogłem odpowiedzieć mu takim zachowaniem? Ja, który tak tępię złe zachowanie u dzieci.

Postanowiłem go przeprosić i udowodnić mu, że jego diagnoza była trafna i spotkała się z moim zrozumieniem. Poszedłem do apteki i kupiłem wszystkie lekarstwa na serce, jakie można było dostać bez recepty. Jestem samotny i trzeba wreszcie pogodzić się z myślą, że tylko sam mogę sobie pomóc.

Zacząłem od tego, że obejrzałem dokładnie całe mieszkanie. Nigdy jeszcze nie przyglądałem mu się pod tym kątem. Gdybym zaślał na przykład w łazience, nie miałbym żadnych szans. Tylko w pokoju mogłem liczyć na to, że zdołam osiągnąć do lekarstw, jeżeli będę miał dość sił, włożyć je do ust leżąc już na podłodze. Na dobrą sprawę wszystko, co może człowiekowi uratować życie, powinno być zawsze pod ręką. Przecież nie da się przewidzieć nieszczęścia. Śmierć jest zawsze zaskoczeniem.

Wróciłem do apteki. Poprosiłem o dwa takie same jak poprzednio zestawy, tłumacząc, że to dla mojego wujka i jego sąsiada staruszka. Uprzejma pani magister zrobiła identyczne dwa komplety lekarstw, mówiąc, że rzeczywiście starszym ludziom trzeba pomagać, bo sami nie potrafią dać sobie rady. — Zwłaszcza, kiedy są naprawdę samotni — dodała.

Jedną porcję lekarstw postawiłem na telewizorze. Przeważnie, kiedy jestem w domu, odbiornik działa. Gdyby coś mi się stało — jeżeli w ogóle coś będę widział, to właśnie rozjarzony ekran. Wystarczy wyciągnąć rękę w stronę tego światła.

Zacząłem trening, biorąc na razie puste pudełka. Gdybym stłukł którąś z prawdziwych buteleczek, musiałbym znowu wracać do apteki. Zresztą i tak wydałem już za dużo pieniędzy.

Odpoczywałem na podłodze po kolejnej próbie. Byłem już zmęczony, bolał mnie kręgosłup, więc leżałem tak — nieruchomo, wpatrując się w sufit. Wtedy właśnie zauważyłem rozpiętą w rogu, między półką a ścianą, wielką pajęczynę. Pająk nie ruszał się, skulony pośrodku. Patrzyłem na niego przez chwilę. Mój kręgosłup przylegał dokładnie do podłogi i czułem, że powinienem częściej powtarzać to ćwiczenie. W szkole jestem przeważnie zmęczony i siedząc garbię się, tak samo jak dzieci, mimo że ciągle zwracam im na to uwagę. Pająk nagle się poruszył. Wisiał tuż nad moją twarzą. Wstałem, żeby przynieść z kuchni szklankę i kartkę papieru. Zawsze tak robię ze wszystkimi robakami, które znajduję w mieszkaniu. Nie widzę powodu, żeby je zabijać. Jaką mają broń wobec całej owadobójczej chemii, którą dysponuje człowiek?

Przyłożyłem szklankę do ściany, zamykając pajaka wewnątrz, i wsunąłem kartkę delikatnie, tak aby nie uszkodzić mu nóżek. Teraz był zamknięty i mogłem spokojnie przynieść go na zewnętrzny parapet okna. Wytrzepałem go, zwinętego w kulkę. Wyglądał jakby nie żył albo był sparaliżowany. Ja też się nie ruszałem. Zamarłem nad nim z rękami w górze. Tylko na niego patrzyłem, nie chciałem go straszyć. Trwało to dłuższą chwilę. W końcu nie wytrzymałem i mrugnąłem — i przez to mgnienie oka pająk zniknął. Po prostu

przepadł. Zupełnie, jakby przestał istnieć. Parapet był pusty. Wróciłem do łazienki i dokładnie sprzątnąłem pajęczynę. Przy okazji zrobiłem porządku w całym mieszkaniu. Teraz mogłem spokojnie zastanowić się, co powinienem robić dalej. Wyjąłem notes i zapisałem najważniejsze sprawy. Zawsze tak postępuję, żeby obronić się przed bałaganem. Każdego wieczoru wykreślam to, co już załatwione albo co straciło aktualność. Kiedy kartka jest już bardzo zabazgrana, biorę następną. Tym razem właśnie sięgnąłem po czystą. To był jakby znak dla mnie samego, że znowu spróbuję zacząć od nowa.

Jako punkt pierwszy zapisałem swoje zdrowie — leczenie, zanim będzie za późno. Miałem nadzieję, że szkolny lekarz wybaczy mi poprzednią, niefortunną wizytę. Ostatnim punktem, zresztą ze znakiem zapytania, była apteka.

Po namyśle dopisałem jeszcze — wypić przed wyjściem mleko; i uświadomiłem sobie z ulgą, że wszystko wraca do normy. Przeżyłem na pewno wyjątkowo ciężki okres, ale na szczęście należał do przeszłości. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakim błogosławieństwem jest przemijanie czasu.

Leżałem w łóżku wygodnie wyciągnięty. Czulem, że jest to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy wszystko co złe jest poza mną. Był to — nie wiem, jak to nazwać — rodzaj zawieszenia. Uczucie, które bardzo lubię i które kojarzy mi się z nieruchomo stojącym powietrzem albo z zatrzymaniem wzroku na czymś, czego wcale nie ma. To zdarza mi się coraz częściej. Patrząc na coś, jakby nie widząc tego i nie myśląc o niczym, tylko trwam w ten sposób z intensywnym poczuciem absolutnej pustki, która przykuwa tak mocno, że nie sposób się od niej oderwać. To bardzo dziwne. Jakby zatrzymany czas. Zegar powinien też wtedy stanąć.

Tym razem leżałem tak bez ruchu, z otwartymi oczami i tylko od czasu do czasu wracała do mnie myśl, że trzeba zgasić światło. Zgasić światło i zasnąć.

Niestety zbudziłem się wcześniej rano. Na dworze było ciemno, w pokoju na pewno zimno i nie mogłem zdecydować się na wyjście spod kołdry. Przede mną znowu kolejny dzień. Wiedziałem, że powinienem już wstać, skoro mam jeszcze przed śniadaniem zagotować mleko. Zapisałem to postanowienie wczoraj i jeżeli teraz zacznę od niedotrzymania obietnicy, wszystko dalej na pewno także się popsuje. Jeżeli mam przestrzegać tego, co postanowiłem wczoraj, to nie wolno mi połykać śniadania w czasie gotowania mleka. Muszę najpierw wypić pełną szklankę ciepłego płynu, a dopiero potem zabrać się do jedzenia. Wtedy nawet przebudzenie może stać się przyjemnością. To takie proste — zbudzić się, żeby zrobić coś dla siebie, dla zdrowia swojego ciała.

Niestety czekało mnie jeszcze pójście do szkoły. Znowu to samo, bez żadnych już złudzeń. Gra stała się nie fair — proszę bardzo, możemy tak grać. Przestałem być naiwny. Teraz widzę jak na dłoni, że oni chcą mnie po prostu wykorzystać. Chcą odbić się ode mnie, żeby skoczyć wyżej niż ja. Ale ja mam tylko jedno życie i nie dopuszczę do tego, żeby mnie było gorzej niż im. Niech oni teraz poświęcają się dla swoich następców. Zobaczmy, czy są w stanie zacząć coś sami, bez niczyjej pomocy.

Właśnie, czy zaczną coś sami? Czy potrafią przejąć inicjatywę, kiedy na nich przyjdzie kolej?

Zrobiłem eksperyment. Wszedłem do klasy, usiadłem za katedrą i na tym praktycznie skończyło się moje działanie. Potem nie zrobiłem już nic. Zupełnie nic i właśnie tego chciałem ich nauczyć. Tego, że jak zechcę, to będę siedział nieruchomo, a oni będą musieli na mnie patrzeć i o mnie myśleć. Nic nie robiłem, a jednak panowałem nad nimi. Nie mogli się ode mnie uwolnić. Zaczęli kręcić się w ławkach, wierzili się nerwowo, patrzyli po sobie — nie wytrzymywali napięcia. A ja, nieruchomy jak skała, wpatrywałem się w te ich twarze — bez strachu, prosto w oczy.

Teraz, gdy wspominam te chwile, jestem dumny, że taką lekcję zakończyła się moja praca w szkole. Będą ją długo pamiętać. Oni w końcu wyszli, a ja zostałem. To oni nie wytrzymali, a nie ja. Oni mieli słabe nerwy. To ich powinno się chronić przed stresami, to oni nie nadają się do życia w nerwowej atmosferze szkoły. Oni, a nie ja.

Ale chociaż z tego pojedynku wyszedłem zwycięsko, to jednak muszę przyznać, że czułem się zmęczony. Urlop należał mi się naprawdę i w tej sprawie postanowiłem, mimo wszystko, znowu pójść do lekarza.

Porozmawiam z nim sobie. Jest trochę gruboskórny, ale mam wrażenie, że myśli podobnie. Przecież trzeba mieć kogoś, komu od czasu do czasu można powierzyć swoje zmartwienia. Chociaż, kiedy wszedłem do gabinetu, chyba mnie nie poznał, albo udawał, że nie poznaje.

— Czy pan wie, że można tak zaczarować człowieka, że umrze? — powiedział, zamykając jakąś książkę w okładce z biblioteki. — Są tacy czarownicy w Afryce, którzy mówią komuś, że umrze, i on naprawdę umiera. Najpóźniej po trzech dniach. Przestaje wierzyć, że będzie żył, i umiera...

Widocznie na mojej twarzy widać było zdumienie, bo nagle przerwał. Rzeczywiście byłem zaskoczony. Pewnie dlatego szybko zmienił temat i zaczął mnie badać — tym razem normalnie, bez takich szokujących diagnoz, jak poprzednio. Było mi nawet przykro, że się spieszył. Pewnie przypomniał sobie, jak mnie wystraszył tym zawałem. A przecież czasem trzeba potrząsnąć pacjentem, żeby zajął się swoim zdrowiem, zanim będzie za późno. Powiedziałem nawet, że nie mam do niego żalu. Chyba zrobiłem mu przyjemność, bo odprowadził mnie aż do drzwi.

Kiedy byłem już na korytarzu, złapał za rękaw mojej marynarki i szepnął: Mózg człowieka to tylko chemia, związki chemiczne, jak cały organizm, nic więcej...

Po czym zaczerwienił się jak dziecko i nie czekając wcale na moją odpowiedź, zniknął za drzwiami gabinetu, zostawiając mnie samego na korytarzu.

Dziwny człowiek. Kazał mi wyciąć migdały, a przecież wiadomo, że przez to traci się odporność. Człowiek jest zupełnie samotny wobec chorób i śmierci. Kto ma mu pomóc, skoro lekarze są bezradni. I tak dobrze, jeżeli się do tego przyznają. Chciałbym, żeby mój lekarz szukał, rozważał razem ze mną wszystkie możliwości. A nie popisywał się, jakby całą medyczną wiedzę miał w małym palcu.

Każdy z nas jest przypadkiem jedynym w swoim rodzaju. Jak można leczyć mnie tak samo jak robotnika drogowego albo jak kobietę. Przecież to absurd. No właśnie. Dobrze, że to sobie przypominałem. Teraz rozumiem, dlaczego tak mnie namawiał na psa. — Niech pan weźmie sobie psa. Trzeba przynajmniej kogoś kochać — powiedział.

Też pomysł. Bardzo lubię zwierzęta, ale co go w końcu obchodzi, czy kogoś kocham czy nie. Gdybym miał problemy psychiczne, poszedłbym do całkiem innego lekarza. Zresztą w naszych czasach nikogo nie stać na takie roztkliwianie się nad sobą. Nerwy trzeba utrzymywać w pewnym rygorze, inaczej zaczynają się obluźowywać jak źle dokręcona maszyna. Ja przynajmniej umiem się opanować i nie wierzę w tę całą psychoterapię i tym podobne bzdury, które wymyślili sobie lekarze. Nie pamięta taki nazwy lekarstwa, zapomniał dawkowania — nie szkodzi. Zawsze może zapytać o sytuację rodzinną, o stresy, zahaczyć o nerwicę i zalecić spacer.

Dobry lekarz powinien starać się poznać pacjenta i zrozumieć jego choroby. Powinien być po prostu bliskim człowiekiem. I współczującym. Niewielu jest takich ludzi. Coraz mniej. No, może znajoma farmaceutka z apteki. W jej oczach widać zrozumienie i nie jest taka obojętna, jak inni. Zawsze uważnie ogląda recepty — na mojej dostrzegła nawet nawisko lekarza. — To ten weterynarz już leczy ludzi? — spytała.

Widocznie nie jestem dla niej przesuwanymi się przed okienkiem kukłami — każdy jest człowiekiem. Bo jesteśmy zapracowani, cierpiący, zmęczeni — i ona to widzi. Ma takie czułe, pełne zrozumienia oczy.

Chyba zauważyła, że jestem trochę chory. Musiałem nawet bardzo źle wyglądać, bo spytała o moje zdrowie. Poprosiła koleżankę o zastępstwo i usiadła ze mną na chwilę przy stoliku w aptece. Piłem wodę, którą nalała mi z karafki, umyślnie bardzo wolno. Potrzebowałem kogoś, komu mógłbym się zwierzyć ze swoich kłopotów. Czułem się zupełnie tak, jakbym znał ją od wielu lat. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się coś takiego. Słuchała mnie z taką uwagą...

— Musi pan mieć nadzieję, że w tym życiu jest jakiś sens — powiedziała w końcu. — Można człowiekowi odebrać wszystko, ale będzie żył, jeżeli będzie miał nadzieję.

Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi, i widocznie odczytała to z mojej miny, bo już odchodząc powtórzyła: Trzeba mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze... I tu, i tam...

Wróciłem do domu i długo się nad tym zastanawiałem. Jakie właściwie „tam” miała na myśli? Mówi zupełnie, jak moja matka i tak samo jej nie rozumiem. Tam — to znaczy w niebie? To znaczy, że jeżeli tu będę postępował dobrze, to tam też będzie dobrze? Przecież przetłumaczone na zdrowy, rozsądny język, jakim powinien mówić współczesny człowiek, to brzmi — jak sobie pościesz, tak się wyśpisz. Gdzie?! W grobie?

Wszystko jedno zresztą, co miała na myśli. Kobiety żyją w trochę innym świecie, niż my. Są takie egzaltowane, utzuciowe. Mają tyle serca dla innych. Powinienem przynieść jej kwiaty, kiedy będę następnym razem w aptecę. Właściwie, czemu nie miałbym tego zrobić? Tak rzadko w moim życiu kupowałem kobietom kwiaty. Parę razy matce, kiedy jeszcze żyła, dwa razy dyrektorze szkoły, chyba kiedyś jeszcze komuś, ale nie za często. Myślę, że gdybym kupił jej kwiaty, nie byłby to pretensjonalny gest z mojej strony. Oczywiście ona może to źle zrozumieć. Wielu mężczyzn na pewno daje jej bukiety mając całkiem co innego na myśli. Swoją drogą wcale nie chciałym stać się jednym z nich. Przyłączyć się do grona konkurentów, jak jeszcze jeden idiota. Ciekawe, czy ona ma ich wielu? Podobno każda kobieta dokładnie to liczy. Może zresztą już mnie zaliczyła? Często zaglądam do apteki, a te ostatnie zakupy musiały wyglądać podejrzanie. Ale żeby od razu wpisywać mnie na listę, to chyba przesada. Ma piękne włosy i długie, wysmukłe dłonie — dlatego, stojąc w kolejce, na nią patrzę. Lubię rzeczy piękne. Na pewno jestem estetą i wszystko, co ładne w ruchu, kolorze, kształcie — wzrusza mnie. Ale czy to nie są po prostu pozory, kryjące w sobie zwykłą chęć przywabienia drugiego osobnika? Tak, jak w przyrodzie — nie wiem gdzie szukać przykładu, ale pająk też rozsnuwa swoją misterną koronkę, żeby złapać i uwięzić nieświadomą pułapki muchę. Znane jest przecież powiedzenie, że kobiety omotują mężczyzn. Oplatają, jak siecią pajęczą. Dlaczego nie miałyby to spotkać mnie? Dałbym się złapać jak mucha, a potem aż do śmierci próbowałbym bezskutecznie uwolnić się.

Nie. Ze mną nie pójdzie tak łatwo. Nie jestem taki naiwny i łatwowierny. Dotychczas się nie poddałem i nie ma żadnego powodu, żebym nagle miał się poddawać. Ni z tego, ni z owego zostać czymś niewolnikiem. Dlaczego? Jakim prawem? Jedyne spokojne miejsce na świecie to własny dom i trzeba być idiotą, żeby pozbawiać się go z własnej woli dla jakiejś zwierzęcej emocji, która pcha człowieka do szalonych czynów. To, że się raz upiłem, jeszcze nie znaczy, żebym miał spędzić życie z butelką. A tak, niestety, jest z kobietami.

Nie ma nawet mowy o tym, żeby jakaś obca baba moczyła się w mojej wannie, rozbebeszała łóżko, wekowała słoiki, wpychała do szafy bagno na mole i robiła całe to swoje idiotyczne „gospodarstwo”, nikomu do niczego niepotrzebne.

Znowu się zdenerwowałem. Jak można tak człowieka wyprowadzić z równowagi? Tylko kobiety to potrafią. Za bardzo poddajemy się swoim emocjom, a wszystko co złe rodzi się właśnie z tego. Trzeba za wszelką cenę szukać w sobie prostoty i naturalności, a nie kierować się uczuciami, które wepchną nas zawsze w najgorsze głupstwa. Trzeba po prostu opanować nerwy. Palę papierosy i jestem za mało na powietrzu — stąd wszystkie moje kłopoty.

Zacząłem zastanawiać się, czy wzięcie do domu jakiegoś zwierzęcia jest rzeczywiście tak absurdalnym pomysłem, jak to się wydaje. Oczywiście nie w tym celu, jaki sugerował mi ten niedouczony weterynarz. Nie mam zamiaru kochać psa. Kochać można matkę, siostrę, żonę. Jestem i zawsze byłem przeciwny dewaluowaniu się wartości słów. Psa można lubić; do psa można być przywiązany, można się nim opiekować. Nie jestem jakąś pensjonarką, która może zakochać się w byle robaku. Pies może mi być potrzebny, żeby chodzić na spacer. Dla zdrowia. I ja, przy okazji, mogę być potrzebny psu — są przecież bezdomne kundły wymagające jakiejś pomocy. Niedawno nawet znalazłem w gazecie ogłoszenie: „Oddam w dobre ręce psa nie nadającego się do tresury”. Pozostałe ogłoszenia dotyczyły szczeniąt, przeważnie rasowych. Nie zależy mi na rasowym psie, a tym bardziej

na szczeniaku. Młodego psa trzeba uczyć wszystkiego, jak dziecko. Wiem, jak trudno jest uczyć dzieci, a cóż dopiero psa, pozbawionego zupełnie odpowiedzialności.

Niepokoilo mnie tylko to, że psa oddawał cyrk „Arlekin”, który od niedawna reklamował swoje występy w mieście. Cyrku nie lubiłem od dziecka. Żal mi zawsze tych biednych dzikich zwierząt, ogłuszonych muzyką i co najgorsze przezbieranych w kostiumy. Zwierzęta w cyrku to jeden z najgorszych gwałtów, jakie zadaje naturze człowiek. Uratowanie jednego z nich będzie dobrym uczynkiem, który posłuży za przykład innym i wynagrodzi zwierzętom krzywdy, jakich ode mnie doznały.

Szedłem do domu z wielkim wilczurem, który z całych sił ciągnął mnie to w przód, to na boki, korzystając z każdej okazji, żeby odbić się od moich nóg, drapiąc mi buty rozczapierzonymi pazurami. Chyba rzeczywiście nie nadawał się do tresury.

To był nasz pierwszy wspólny dzień. Nie wiedział jeszcze, gdzie go prowadzę i co go czeka. Nie wiedział, jaki mi będzie wdzięczny.

Ale, żeby być uczciwym, muszę przyznać, że nie tylko on mnie potrzebował. Ja też byłem zadowolony, że mogę coś dla niego zrobić, że on to doceni i nareszcie będzie miał prawdziwy dom. A poza tym postanowiłem, korzystając z większej ilości wolnego czasu, obserwować tego psa. Skoro już go wzięłem, chciałem przynajmniej mieć z tego trochę korzyści. Zwłaszcza, że nie jest to pies inteligentny, jak mi powiedziano w cyrku. Tym lepiej. Inteligencja jest domeną człowieka, a pies, jak każde zwierzę, powinien kierować się naturalnym instynktem, którego z kolei brakuje nam.

Nie będę, jak inni właściciele psów, tresował go, żeby dawał łapę i służył. To raczej ja sam chcę nauczyć się czegoś od niego — wystarczy, żebym tylko przyglądał się uważnie jego zachowaniu i wyciągał z tych spostrzeżeń wnioski na własny użytek.

Spróbowałem na przykład przesunąć moje łóżko w to miejsce, na którym lubił się układać. Niestety było za długie i blokowało drzwi. Człowiek jest po prostu spętany przez cywilizację i wszystkie próby powrotu do natury są niemożliwe. Ja sam zamazałem resztki własnego instynktu, który mógł mnie ochronić przed tyloma głupstwami. Myślenie do niczego nie prowadzi. Tylko męczy, zamęcza...

Znalazłem się na jakimś zakręcie życiowym i nie umiem zdecydować, którą drogę wybrać. Boję się zaryzykować. Zupełnie jakbym z zawiązanymi oczami, w ciemności, szukał po omacku drogi, której pewnie w ogóle nie ma.

Kiedy parę dni temu byłem u wróżki, też uderzył mnie prawie zupełny brak światła w jej mieszkaniu. Jakby widziała w ciemności. To mnie zastanowiło i to był właściwie jedyny interesujący moment tej wizyty. Niepotrzebnie tak wiele razy zawracałem pod jej drzwi. Zresztą i tak, kiedy naciskałem dzwonek, nikt mi nie otwierał. W końcu uznałem, że nikt tam nie mieszka, i nawet mnie to uspokoiło. Potem jednak zacząłem podejrzewać, że wróżka coś przeczuła. W końcu jeżeli jest — jak mówią — jasnowidzem, to musi wiedzieć, kto stoi pod jej drzwiami, kiedy jeszcze są zamknięte. Bo przecież niemożliwe, żeby tyle razy nie było jej w domu. Nie otwiera mi, bo nie chce otworzyć. To oczywiste. Po co ma wróżyć ludziom nieszczęście? Gdybym był wróżką, unikałbym tego jak ognia. To lekarz nie może odmówić przyjęcia pacjenta, który cierpi na śmiertelną chorobę. Musi go zbadać, chociaż wie, że to beznadziejne. A wróżka nie musi. Po co jej to. Przecież nie powie komuś, tak prosto w oczy, o jego przyszłej tragedii. Dlatego też unika mnie i nie reaguje na moje dzwonki, bo nie chce kłamać i pozbawiać mnie złudzeń.

Kiedy któregoś dnia nagle otworzyła drzwi, byłem pewien, że pomyliłem adres. Stała przede mną malutka, szara i niepozorna, właściwie już w starszym wieku. Uśmiechnęła się nieśmiało i zaprosiła mnie do mieszkania. Postanowiłem od razu, nie zwlekając opowiedzieć jej o sobie. Zacząłem już w przedpokoju, żeby nie myślała, że jednym spojrzeniem w progu rozszyfruje całe moje życie. Jeżeli nawet jej się to udało, to moim opowiadaniem szybko zaciemniłem ten, i tak na pewno fałszywy obraz. Na końcu powiedziałem, że jedyne, co naprawdę może dla mnie zrobić, to zachować dyskrecję. Wiem, że zna moją przyszłość, i proszę, żeby zachowała te wiadomości dla siebie. Zrozumiała o co mi chodzi, bo przytakiwała ruchami głowy i uprzejmie się uśmiechała.

Bałem się tylko, że przez roztargnienie powie coś nieodwołalnego na mój temat — chociażby jedno słowo, które jednak może zaważyć na moim życiu — więc starałem się nie dopuścić jej do głosu. Jednak patrzyła na mnie, kiedy mówiłem, i to już mnie peszyło. Miała, muszę to przyznać, wyjątkowo przenikliwe spojrzenie.

W pokoju umyślnie zająłem miejsce w najciemniejszym kącie. W takim świetle nie można zbyt wiele widzieć. Za to ona siedziała tuż pod niską lampą, z łagodnym uśmiechem na twarzy i cierpliwie mnie słuchała.

Słuchała jak lekarz chorego, z wielką uwagą, ale jej reakcje nie były dokładnie takie, jakich oczekiwałem. Wydawało mi się, że patrząc na mnie odczytuje z mojej twarzy coś, co jest pomiędzy słowami, które mówię. Jakby z góry zakładała, że kłamię i że prawdę trzeba dopiero odkryć. Powiedziałem nawet, że ogląda mnie jak psychiatrę wariata, i wtedy zaczęła się śmiać, a właściwie chichotać tak jakoś histerycznie, jakby nie mogła skończyć i jakby chciała coś za tym śmiechem ukryć. Próbowала pewnie tą udawaną wesołością zamaskować jakiś prawdziwy niepokój, którego doznała na mój widok. Wykrztusiła wreszcie, że to ja na nią patrzę i że ona naprawdę nie wie, co mi powiedzieć. Czego od niej oczekuję?

To już było żenujące. Chciała odwrócić kota ogonem w zbyt nachalny sposób. Dziwne, że brała mnie za tak mało inteligentnego. Przecież wiadomo, co ze mną będzie. I ona to wie, i ja. Już w drzwiach widziałem to po jej minie. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, więc po co się oszukiwać. Powiedziałem jej jeszcze raz, dosyć ostro, że nie chcę słyszeć tego, co zgodnie ze swoją profesją ma mi do powiedzenia. Nie chcę znać ani prawdy, ani kłamstwa. Skoro wie o mnie coś, czego ja sam nie wiem, niech zachowa to dla siebie. Nikt nie będzie wydawał na mnie przedwczesnych wyroków.

Pówtórzyłem jej to jeszcze raz w drzwiach, wychodząc, ale prawdę mówiąc dręczyły mnie wątpliwości, czy postępuję słusznie. Miałem wrażenie, że i tak stało się coś groźnego i nieodwracalnego. Moja przyszłość, którą na pewno przejrzała, stała się teraz realna. Przypieczętowana. Teraz już nic nie da się zmienić i klamka zapadła, nawet jeżeli wróżka do końca życia zachowa tajemnicę. Przestałem mieć wpływ na wszystko, co robię. Wiadomo, co będzie, chociaż sam jeszcze tego nie wiem. Tylko ciekawe, czy ktoś to wie, poza wróżką, która mnie widziała.

Pies ciągnął mnie na długiej smyczy. Szedłem za nim tam, dokąd chciał. Wędrowaliśmy wśród ogródków działkowych i dalej, aż na peryferie miasta. Wyjadał trawę, ale tylko niektóre gatunki. Długie i ostre trawki, które raniły mu język. Trzeba było nazbierać w ustach dużo śliny i bardzo długo żuć. Leżałem obok niego na łące i próbowałem jeść te same co on źdźbła. Było gorąco — jemu chyba mniej, bo chroniło go futro. Może grube ubranie też ochroniłoby mnie przed słońcem. Podobno pies w futrze nie traci swojego wewnętrznego chłodu.

Znowu zaczynam myśleć. Gdyby raz udało mi się wyłączyć pracę mózgu, wtedy na pewno instynktownie wiedziałbym, co należy robić. Czułbym to. Obiecałem sobie naśladować psa i muszę się tego trzymać. Czasami nawet mi się udaje. Obaj wymiotowaliśmy po powrocie ze spaceru. Musiałem po nim sprzątać i też zrobiło mi się słabo. Może takie jest działanie trawy, a może za dużo biegaliśmy. On ganiał jak szalony, a ja nie umiałem go złapać. Jest zupełnie niewychowany. Podchodził do mnie, ale kiedy chciałem chwycić go za obrozę, natychmiast uskakiwał. Robił to zresztą umyślnie. Biegałem za nim, nie mając właściwie żadnych szans. Był bardzo szybki. Trwało to ponad dwie godziny i nic dziwnego, że byliśmy już zmęczeni.

W końcu postanowiłem zrobić z nim to samo, co on robi ze mną. Uciekłem mu nagle, tak żeby to widział, w kierunku katedry, której tylne wyjście przylega do parku.

Zdyszany wszedłem, prawie wbiegłem, do podziemnej kaplicy i schowałem się za ogromnymi drzwiami. Kościół był pusty, więc nikt na szczęście nie zwrócił na mnie uwagi. Paliło się tylko czerwone światełko na ołtarzu, a w powietrzu snuł się zapach kadzidła, jakby jeszcze przed chwilą ktoś tutaj był.

Chyba tak pachnie kadzidło. Pamiętam ten zapach z dzieciństwa. Dziwny zapach, wywołujący wzruszenie. Gdyby nie mój ojciec, pewnie chodziłbym do kościoła. Ale niczego nie żałuję. I nie boję się śmierci.

Szary cień mignął w mroku. Sekundę wcześniej usłyszałem dyszenie. Rzuciłem się do przodu z taką siłą, że obaj upadliśmy na kamienną posadzkę. Mam cię. Zapinałem mu obrożę na szyi. Już mi drań nie ucieknie. Teraz, po tych gonitwach, nie ma już siły nawet ciągnąć. Bez trudu wyprowadziłem go na ulicę. Dyszał, z jęzorem zwieszonym prawie do ziemi.

W domu zamknąłem go w łazience, a sam siadłem jak zwykle przy oknie w pokoju. Co za straszny dzień z tym psem. I jeszcze do tego ta ciemna katedra, która całkiem wyprowadziła mnie z równowagi swoim dusznym zapachem dzieciństwa. Właściwie nie dusznym, tylko powodującym takie dziwne dławienie w gardle.

Trzeba po prostu uspokoić się i przestać o tym myśleć. A najlepiej zająć się tym, co jest wokół nas, bo tylko to nadaje jakiś sens życiu. Ciekawe, czy inni ludzie mają takie same problemy. W zimie, kiedy wracam z pracy, jest już ciemno i mogę patrzeć na nich z okna mojego mieszkania, nie zapalając światła. Ulicę widać wtedy tak wyraźnie. Zastanawiam się, kim są, gdzie pracują, po co tak się spieszą. Wiem, że oni nie mogą mnie widzieć, kiedy tak stoję, ukryty za szybą w moim ciemnym pokoju. Nawet głupio mi, że ich tak obserwuję z ukrycia — ale nic na to nie można poradzić. Kiedy zapalam światło, widzę już tylko moje własne odbicie w szybie. Za to oni oglądają mnie wyraźnie w ramie okiennej, jak na jasno oświetlonej scenie.

Sprawdziłem to kiedyś, sadzając na oknie starą, pluszową zabawkę. Wyszedłem na zewnątrz i rzeczywiście widać ją było z ulicy, a jeszcze lepiej z klatki schodowej domu naprzeciwko. Kupiłem wtedy grube zasłony i zasuwam je, kiedy tylko zapada zmrok i trzeba zapalić lampę.

Gdybym mógł zgasić światło i mimo to zachować odbicie mojej twarzy na szybie, jak w lustrze. Wtedy widziałbym i siebie, i ludzi na ulicy. Ja, na tle ludzi albo obok nich, albo wśród nich — zależnie od ustawienia się. Ale to niemożliwe.

Mogę zobaczyć coś przez szybę, dopiero kiedy zgaszę światło. Powinno być odwrotnie. Z pewnością łatwo wytłumaczyć to z punktu widzenia nauki, ale mimo wszystko dziwne, że trzeba zgasić światło, żeby cokolwiek widzieć.

Właściwie nigdy nie lubiłem tego rodzaju przemyśleń. Przyplątały się do mnie jakieś głupie problemy, których każdy trzeźwo myślący człowiek powinien się wstydić. Żadne zwierzę by na to nie wpadło. Nawet taki głupi pies wie, czego chce i dąży do tego. Życie w zgodzie ze sobą, w harmonii ze środowiskiem, bez całego tego zamętu umysłowego, w którym ja kręcę się w kółko jak zepsuta maszyna. Mechanizm, w którym niczego nie da się już naprawić. Wszystko się rozregulowało, wytarło. Nie wiadomo, co najbardziej przeszkadza, bo cała konstrukcja chwieje się i rozpada. Nie ma na czym się oprzeć.

Czy mam jeszcze jakąś szansę? Nie wiem. Czy jest jeszcze coś, czego nie wykorzystałem? Nie mam sobie nic do zarzucenia. Nie mogę mieć do siebie pretensji. Nie zaniedbałem niczego ważnego. Może tylko powinienem uporządkować ten cały chaos, który nagle, nie wiadomo dlaczego, powstał wokół mnie.

Może po prostu przez tego psa? Rzeczywiście to nie był dobry pomysł. Nie nadają się już na szarpaninę ze zwierzętami. Jest za duży i za silny dla mnie. A poza tym trzeba się na tym znać. To cała wiedza, którą powinien zgłębić ten, kto chce sobie wychować towarzysza życia. Ja mam za mało czasu i energii. Wygląda na to, że powinienem oddać go szybko tam, skąd go wziętem — w cyrku dadzą sobie z nim radę lepiej ode mnie. W końcu są od tego, żeby tresować zwierzęta.

Na szczęście mogłem pójść tam rano, a nie w porze spektaklu. Zresztą wieczorem i tak nikt nie miałby dla mnie czasu. Zastanawiałem się jeszcze nad wyborem ubrania. Bałem się, że mogą mnie wziąć za hycla, handlarza albo za człowieka samotnego, który nikogo już nie ma na świecie i dlatego przygarnął psa. Albo za kogoś, kto nie ma przyjaciół — nie

ma nic gorszego, niż kiedy ludzie wymyślą sobie na nasz temat jakieś bzdury i zaczynają się litować.

Wszedłem wreszcie na ogrodzony płotem teren i wyjąłem z kieszeni paczkę gumy do żucia, którą kupiłem w kiosku przy domu. To podobno pomaga na nerwy, a jeżeli nawet nie, to przynajmniej wygląda się na kogoś zadowolonego z siebie.

Przywiązałem psa do jednego z wozów cyrkowych i stanąłem obok, żując gumę i czekając, aż ktoś zagadnie mnie, co tutaj robię. Nie chciałem nikogo zaczepiać. Niech nie myślą, że mi zależy. Dwaj mężczyźni minęli mnie, ale ponieważ sami nie podeszli, więc też udałem, że ich nie widzę. Czekałem jeszcze chwilę, ale z namiotu nie dochodziły żadne odgłosy. W końcu podniosłem płachtę i wszedłem do środka.

W tym samym momencie oślepił mnie gigantyczny reflektor. Oświetlono porażająco białym światłem akurat to miejsce, w którym stałem. Namiot, który z zewnątrz wydawał się opuszczony przez ludzi, wyglądał, jakby zaraz miał się rozpocząć spektakl. Wszystkie światła były skierowane na arenę i tylko jeden reflektor, nie wiadomo dlaczego — prosto na mnie.

Czemu znalazłem się akurat tutaj? Gdybym wszedł innym wejściem, stałbym w ciemności i to ja patrzyłbym na nich, a nie oni na mnie. Na pewno właśnie to robią. Patrzą i czekają. Każdy mój ruch, nawet najmniejsze drgnienie, będzie oznaczać początek mojego występu.

Nawet nie wiem, ilu ich jest. Oślepił mnie. Wszystkie mięśnie napięte mam do granic możliwości i jednocześnie nie wiem co zrobić, żeby wykonać jakiś ruch. Jakikolwiek. Nie mogę nawet drgnąć. Jakby zerwano połączenia między moim mózgiem a nerwami. Jakbym zamarł.

Trzeba się uspokoić. Zamknąć oczy. To nie może trwać wiecznie. Skończą próbę i zgaszą światło. Muszę to tylko przeczekać. I wtedy usłyszałem ciszę. Zdarzyło mi się to pierwszy raz w życiu. Zupełną ciszę. Zdumiony otworzyłem oczy — światło zgasło. W ułamku sekundy ześlizgnąłem się z podestu i między krzesłami przemknąłem do wyjścia. Nawet nie wiem, jak znalazłem się w domu. Nie chciałem zapalać światła. Osunąłem się tylko na podłogę.

Przecież nie można żyć, kiedy z tyłu stron nadchodzi atak. Nie wiadomo, przed czym się chronić. Nie wiadomo nawet, kiedy zaatakują. Człowiek czuje się jak zwierzę na polowaniu — w każdej chwili można go wykończyć. W jaki sposób bronić się przed tym? Czy w ogóle można się obronić? Nie. Możemy tylko próbować jakoś tam przeżyć. Ale czemu to właściwie służy? Przecież ci, których chciałem wychować, wcale tego nie chcieli. Nie boję się śmierci. Dlaczego miałbym się bać? To tylko chwila. Ale najgroźniejszy jest sam strach. Jeżeli już czegoś w życiu się boję, to właśnie tego strachu przed śmiercią. Wiem, że powinienem unikać takich myśli, ale nie umiem się opanować. Nerwy nie mogą uspokoić się, podobnie jak mięśnie po wielkim wysiłku. Człowiek czuje się jak zwierzę na polowaniu. Nie zamierzam być ruchomym celem. Dlaczego wszyscy mają patrzeć, jak walczę o życie, a potem ginę. Dlaczego ja mam być ofiarą?

Często zastanawiam się, czy inni ludzie czują to samo. Może nie myślą nad tym często, jak ja. Gdyby można było przestać myśleć, wygasić myślenie, jak natrętnie gadający odbiornik radiowy, może wtedy przestałbym się bać. Bo teraz boję się właściwie wszystkiego. Wszystkiego, o czym pomyślę. Już nawet boję się myśleć, żeby siebie samego nie straszyć. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie można tak żyć. Że to graniczy z obłędem. Gdybym wiedział, co mnie czeka, może przestałbym się bać. Albo przeciwnie, dopiero wtedy ogarnąłby mnie jeszcze gorszy strach...

Jaka jest moja przyszłość? Może w ogóle jej nie ma? Może to tylko jeszcze tydzień albo dwa dni i koniec.

Trudno mi sobie wyobrazić, że umrę i po prostu mnie nie będzie. Pamięć o mnie nie przetrwa pewnie nawet miesiąca. Jeżeli w ogóle ktoś sobie o mnie przypomni. Myślę, że zniknę zupełnie, także z pamięci ludzkiej. Po co właściwie ten cały wysiłek. Przecież z tego ślepego zaułka nie ma żadnego wyjścia. A jednak, gdyby naprawdę go nie było, to

znaczyłoby, że umarłem. A jeszcze żyję. Żyję i co dalej? Nie czuję w sobie żadnej nadziei — jakby pustka. Nie mam od czego odbić się, żeby ruszyć naprzód. I nie widzę sensu w szukaniu od nowa drogi. Jestem zmęczony. I tak wszyscy umrzemy, bo śmierć jest przecież nieuchronna. Skoro i tak umrę...

Umrę... Co mi przyszło do głowy? Kto to właściwie powiedział? Czasem są takie słowa, które się przyplączą i nie można się od nich uwolnić. Włazą w głowę tak samo, jak melodia. Nigdy nie wiem, gdzie i kiedy przyczepia się do mnie jakaś melodia. Najczęściej melodia... Właściwie słowa nigdy się tak nie przyczepiają. Może wiersze... ale pojedyncze słowo nigdy jeszcze mi tak nie przeszkadzało. Przecież to ja powiedziałem, nikt inny, a wciąż słyszę w głowie, jak brzęczenie komara. Może coś sobie wmawiam. Sam to wymyśliłem i sam siebie wpędzam w obsesję. A przecież nie ma się czego bać. Właściwie wcale się nie boję. Umrę spokojnie, nie myśląc o niczym. Nikt nie będzie myślał o mnie. Tylko to słowo, żeby przestało mnie tak męczyć... czy nie ma już innych słów? Sam siebie skazałem. Słyszę w głowie tylko to jedno... zostało tylko ono... Nie ma już innych słów... Nikomu nie jestem potrzebny, dla ich dobra powinienem umrzeć... nie będę nawet zapalał światła — tak lepiej, w ciemności...

Koniec